

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE
Jerzy Andrzejewski
Ludwik Berger
Edward E. Chudzyński
Konrad Krupski
Franciszek J. Wazeter
Józef Wittlin
Jan Wolny

Vol. 4 No. 47 (204)

Newy Jork, 1 grudnia — New York, N. Y., December 1, 1946

Cena 20 ct.



Pomnik króla Jana Sobieskiego we Lwowie

Wojsko polskie wciąż istnieje

Nominacja Generała Andersa na naczelnego inspektora Polskich Sił Zbrojnych, o której docho-
dzi nas wiadomość — ma w obecnej chwili znacz-
nie przedewszystkiem symboliczne, którego jednak
nie można nie doceniać, które, przeciwnie, należy
wszystkimi wyjaśnić i najmocniej podkreślić.

Oznacza ona poprostu, że rozwiązane polskich
jednostek bojowych i ciężka konieczność materjal-
na wstępowania żołnierzy z pod Falaise i Monte
Cassino do tak zwanego Korpusu Przeszkolenia—
nie likwidują w rozumieniu Pana Prezydenta i
Rządu jak też w opinii walczącej emigracji — du-
chowej łączności rozproszonych dziś żołnierzy pol-
skich z prawowitą władzą polską, ze świętą sprawą,
o którą walczyli i wierzą, że będą walczyć.

Generał Anders — jak niegdyś jego wielki po-
przednik na ziemi włoskiej Jan Henryk Dąbrow-
ski, zmuszony do chwilowego poniechania walki,
nie przestał być w oczach żołnierzy tej walki sym-
bolem, źródłem wiary, że ich los obecny dozna od-
miany i że żołnierz polski pod polskimi sztandara-
mi powróci do naprawdę wolnej ojczyzny.

Prezydent Raczkiewicz mianując generała An-
dersa — naczelnym inspektorem Polskich Sił Zbroj-
nych — dał wyraz znaczeniu jakie do tego symbolu
przywiązuje cały naród, jego wadze dla sprawy pol-
skiej, dla ciągłości naszej walki o niepodległość i
niewątpliwie również dla wyczekującego dnia wy-
zwolenia — Kraju.

Tylko ludzie małego serca, ślepi i głusi na
przykłady historii — a co za tem idzie niezdolni
rozumieć rzeczywistości — mogą wyobrazić sobie,
że epopeja wygnańczej armji polskiej kończy się
nieodwołalnie na ciężkiej, krzywdzącej pospolitości
Korpusu Przeszkolenia, że żołnierz polski, dziś po-
zbawiony broni — nigdy jej nie odzyska, że ra-
chunki zwycięskiego świata — ze zwycięzcami z pod
Monte Cassino — są przez utworzenie tego załośne-
go Korpusu skończone i pokwitowane.

Tym ludziom małoduszny i nam wszystkim
w nieuchronnych chwilach upadku ducha i słabo-
ści — nominacja Generała Andersa przypominać
będzie te proste prawdy, dzięki którym naród pol-
ski nie utracił w czasie stuletniej niewoli wiary w
wolność i nie przestał nigdy o nią walczyć; mówić
będzie ona o tem, że jak nie poszła na marne krew
z pod Racławic, Grochowa i Łowczówka, tak nie
może pójść i ta także, która tyłoma strumieniami
płynęła pod Monte Cassino, Falaise i Arnhem, że
Legjony Dąbrowskiego doznały niegdyś tego same-
go co dzisiejsze wojsko polskie losu a przecież jak
im to zapowiadała biwakowa piosenka powróciły z
ziemi włoskiej do wolnej Warszawy.

W powrocie do Warszawy ze sztandarami i z
bronią tych wszystkich, którzy walczyli o Polskę a
dzisiaj wrócić do niej nie mogą — nietylko żołnierz
polski ale i cały nasz naród — widzi warunek, sym-
bol i sprawdzian naszej prawdziwej niepodległo-
ści. — Wierzy on bowiem, że wodzowie i sztandary
z pod Monte Cassino nie skłonią się nigdy przed
rządzącą dziś w Polsce zradą i nie zatrzymają w
pochodzie przez Polskę zanim nie staną we Lwo-
wie i w Wilnie.

Nominacja Generała Andersa powinna być
pojęta jako stwierdzenie raz jeszcze, że hasła nasze-
go Rządu są te same, które nasze wojsko niosło na
swych sztandarach, że w swej walce o prawa Pol-
ski chce on brać przykład z nieustępliwości naszych
żołnierzy, że ulegając silniejszym od niego warun-
kom nie rezygnuje przecież z żadnych swych praw
suwerennych, że będzie dążył do ich odzyskania i
że uważa się za prawowitego zwierzchnika wszyst-
kich wolnych Polaków. Wierzmy, że takie były
właśnie powody, dla których prezydent Raczkie-
wicz mianował Generała Andersa — generalnym
inspektorem Wojsk Polskich. I w tem widzimy za-
ównie symboliczne jak też realne polityczne zna-
czenie tej nominacji.

**KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ” NAJLEPSZYM
PODARKIEM GWIAZDKOWYM**

JAN WOLNY

CHOROBA SŁOWIAŃSKA

I.

Program, hasło czy "front" solidarności Słowian wobec pozostałego świata, zawsze dla Polaków bałamutne, są dziś dla nich bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Jeśli w Polsce ludzie różnych autoramentów dną dziś w słowiańską dudkę, można to usprawiedliwiać ogólną potrzebą mimikry wobec okupanta, i tego z Moskwy, i tego lokalno-warszawskiego. Przybieranie koloru ochronnego jest bowiem w kraju jednym ze sposobów, mających na celu uchronienie się od zagłady, zachowanie się na przyszłość. Ludzie w kraju zasługują na kredyt, że wiedzą, co robią. Ale propaganda politycznego słowianstwa wśród Polaków zagranicą jest w obecnych warunkach historycznych albo świadomym czy nieświadomym działaniem na korzyść imperjalizmu sowieckiego i jego warszawskiej agencji, albo też lekkomyślną igraszką, niegodną oświeconych patriotów polskich i wyrządzającą sprawę naszej poważną krzywdę. Zadaniem niniejszego artykułu jest wyjaśnienie ludziom dobrej woli, zdolnym do krytycznego myślenia, że teza nasza jest słuszna.

Że tak jest, jak mówimy, uczy nas historia ostatnich dwustu lat, w ciągu których kilkakrotnie przychodziła moda na Słowiańszczyznę, zawsze z naszą szkodą. Przedrozbiorowi Polacy nie operowali (choć były ekscentryczne wyjątki) tem pojęciem. Dawna Rzplita nie zdawała sobie sprawy, że sporo jej obywateli było Białorusinami in statu nascendi, a że jeszcze więcej z nich pragnęło uważać się za Ukraińców czy Rusinów. Wojny polsko-kozackie XVII wieku toczyły się zresztą jeszcze na podłożu religijnem i społecznym, a nie narodowościowem. Szlachta polska uważała się za potomków mitycznych Sarmatów, co schlebialo jej próżności, ale bynajmniej nie wierzyła, aby Czesi lub Rosjanie byli tego samego zaszczytnego pochodzenia. Polityczne przyjaźni dawnej Rzplitej z Litwinami, Czechami, Madziarami, Wołochami, t. zn. ze sąsiedzimi jej sąsiadami, niezależne były od ich pochodzenia rasowego. W tym samym czasie świadomość słowiańska narodów bałkańskich była tylko częścią składową ich reakcji na jarzmo tureckie, w której Grecy i Rumuni wykazali zresztą więcej dynamizmu od Serbów i Bułgarów. Odkrycie dworskich pisarzy rosyjskich, w rodzaju Trediakowskiego, że teoria słowiańska może przydać się cesarskiej Rosji, przyszło w trakcie rozbiorów Polski, które zresztą były mo-

tywowane nazewnątr solidarnością Rosji z dyssydentami, t. j. z prawosławną ludnością wschodniej Rzplitej. Dopiero w 1939 roku Mołotow powołał się otwarcie na wspólne interesy Moskwy z Białorusinami i Ukraińcami nowej, drugiej Rzeczypospolitej.

O tej solidarności słowiańskiej we współczesnym i dziś nanowo w Moskwie obowiązującym ujęciu politycznym Polacy dowiedzieli się w przejmującej chwili kryzysu narodowego lat 1830-31. Powstanie listopadowe, przyspieszone przez rewolucję paryską 1830 roku, debatowane było we francuskiej izbie deputowanych namiętnie i przeważnie nieprzychylnie dla rządów Mikołaja I. Liberal "rewolucjonista" i przyjaciel Mickiewicza Puszkina (tonący w długach i zabięgający o pomoc z kasy cesarskiej) ogłosił wówczas poemat "Do Oszczerców Rosji". "Poco ten hałas, wysłannicy ludowi?" wołał on w strofach na najwyższym poziomie swego poetyckiego geniuszu, "jest to walka Słowian między sobą", "albo strumienie słowiańskie spłyną razem w morze rosyjskie, albo wyschnie ono". W szkołach dawnego zaboru rosyjskiego dzieci polskie musiały uczyć się na pamięć tego wiersza, z doskonałym skutkiem politycznym, skoro otwierał im on oczy na prawdziwą Rosję. Tuwim, znawca Puszkina, pominął ten poemat w swych świetnych tłumaczeniach. Może zajmie się nim teraz?

W rozwoju popularności argumentu słowiańskiego w Rosji wiersz Puszkina znaczył więcej od setek uczonych tomów i debat towarzystw słowiańskich, ponieważ on jeden naprawdę trafił pod strzechy. Program w nim zawarty stał się punktem wyjścia akcji słowianofilskiej, która z poparciem rządu carskiego trwała aż do rewolucji sowieckiej. Nie mamy tu miejsca na historję tej akcji, którą zainteresowani mogą przeczytać choćby w stronnej zresztą książce francuskiego sławisty Louis Leger'a "Le Panslavisme". W latach 1840-60, według marxisty rosyjskiego, słowianofile moskiewscy "usiłowali uzasadnić osobną, samobytną rosyjską drogę rozwoju historycznego, odmienną od ogólnej drogi historycznej rozwoju krajów Zachodniej Europy, i wykluczającą ich zdaniem przewroty rewolucyjne. Słowianofile występowali przeciw światopoglądowi materialistycznemu". Nic od takich wywodów bardziej nie odpowiadało interesom rządów rosyjskich od pierwszego do ostatniego Mikołaja. Usprawiedliwiał one ich politykę wewnątrz imperjum i dostarczały rzekomo ideowe-

go materiału parciu carskiej Rosji na Wiedeń, Adrjatyk i Konstantynopol. Nie kto inny, jak pseudo-uczeni słowianofile, pierwsi podnieśli, jak z uznaniem mówi Wielka Encyklopedia Sowiecka, "nieprzedawnione prawa Zachodniej Ukrainy do zjednoczenia" z Rosją, i nie kto inny przygotował grunt do wojny tureckiej 1876 roku, wojny o "oswobodzenie południowych Słowian", w której tak jak dziś chodziło o Stambuł, Dardanele, o Kars i Ardahan. Dzisiejsze wywody pseudohistoryków moskiewskich na ten temat są właściwie "dieselbe Couleur in Rot".

Od pierwszego zjazdu słowiańskiego w Moskwie w 1867 roku do ostatniego w Sofji w 1910 roku, poprzez różne przyprawy i odpływy napięcia słowiańskiego nie co innego carska Moskwa miała na myśli, niż kontrolę nad całością świata słowiańskiego według Puszkiniowej recepty. Poddać strupieszalej sultańskiej Turcji Serbowie i Bułgarzy z całą świadomością wyzyskiwali wówczas nacisk rosyjski w celu odzyskania niepodległości; w Austrii coraz bardziej świadomi narodowo Czesi, grali w te same karty słowiańskie w celu uzyskania niepodzielnej kontroli nad ziemiami korony św. Wacława. Dla tych narodów, w ówczesnej epoce i do pewnych granic, program słowiański carskiej ekspansji był użyteczny. Ale dla innych Słowian był on fikcją czy oszustwem. Niepotrzebny on był Kroatom ani Słoweńcom, równoznaczny z dalszym więzieniem dla świadomych Ukraińców, dla Polski zaś był on symbolem niewoli i gwarancją, że z tej niewoli няма wyjścia.

Podział Słowian na przychylnych i wrogich Rosji w jej ówczesnym carskim wydaniu znalazł wymowny wyraz podczas pierwszej wojny światowej. Tuż na jej początku W. Książę Mikołaj w odezwie do Polaków, powołując się na "niezardzewiały miecz z pod Grunwaldu", wzywał ich do walki w rosyjskich szeregach z krzyżackim najeźdźcą. Wielkoksiążęcy palec, wyciągnięty do Polaków, zawisł w powietrzu. Zaproszenie do współpracy, nie podparte żadnymi gwarancjami wolności politycznych, minęło w Polsce bez większego echa. Odwrotnie, najbardziej dynamiczny z ówczesnych ruchów politycznych w Polsce, obóz Piłsudskiego i Legionów, właśnie w "słowiańskiej" Rosji widział głównego wroga. Bułgarzy bili się przeciw niej, podobnie jak pułki kroackie i słowiańskie, ukraińskie i Małopolski wschodniej i karpatorskie. Podczas przechodzącej okupacji Lwo-

wa przez wojska rosyjskie w 1914-5 roku, generał-gubernator Bobrinskij nie pozyskał sobie nikogo z polityków ukraińskich. Poznańcy i ślązacy w wojsku niemieckim dezertowali do Francuzów i Anglików, ale nie do Rosjan. Od 1914 do 1917 roku słowiańszczyzna była pustem i czysto formalnym hasłem. W listopadzie 1917 roku rewolucja sowiecka wyrzuciła ten nieużytek na śmiecie, razem z innymi rekwiizytami polityki domu Romanowów.

W wybuchu tej rewolucji i w pierwszych dwudziestu latach istnienia imperjum sowieckiego motyw słowiański nie odegrał żadnej roli. Wodzowie rewolucji w ogromnej swej większości nie mogli być posądzeni o słowiaństwo, a aluzje do tego uważaliby — w najlepszym razie — za kpiny. Ponadnarodowość i ponadrasowość rewolucji sowieckiej była przez długi czas w praktyce i jest jeszcze w teorii jedną z istotnych jej podstaw, jednym z fundamentalnych jej założeń moralnych i osiągnięciem, z którego wodzowie rewolucji mogli być dumni. Do niedawna w Związku Sowieckim nie rozróżniano między tą czy inną rasą, a każda z nich mogła być powołana do współczestnictwa w jej dobrych i złych pracach. Nawet najwięksi krytycy Związku Sowieckiego nie odmawiają mu tego, że po raz pierwszy od czasów imperjum rzymskiego osiągnął on pełną równość ras w jednym wspólnym dziele, oczywiście świeckim. Powolna rusyfikacja mas poza-rosyjskich pod berłem Stalina jest nietyle założeniem politycznym systemu sowieckiego, ile nieuniknioną praktyczną konsekwencją jego centralizmu i masowych przesunięć ludności dla względów gospodarczych, politycznych i militarnych.

Przez wiele lat słowiaństwo istniało w słowniku komunistycznym wyłącznie w charakterze pojęcia negatywnego, jako sprzecznego i z międzynarodową solidarnością proletariatu, i z ponadrasowym charakterem rewolucji. Jest charakterystyczne, że wyczerpujący indeks dwudziestu kilku tomów pism Lenina nie zawiera ani jednej pozycji "słowiańskiej". Nie mówiono i nie pisano na ten temat w pierwszych latach rewolucji, a pozbawiony soków odżywczych z kasy policji carskiej ruch słowianofilski zwiądł i zmarniał. I Lenin, i współcześni mu teoretycy bolszewizmu uważali teorię jedności słowiańskiej za reakcyjny zabobon, który przed rewolucją miał na celu odwrócenie uwagi proletariatu od jedynie dlań istotnej przebudowy socjalnej społeczności, w najlepszym razie za zaprzatanie mu głowy czemś niepotrzebnym, w gorszym razie na stwarzanie sztucznych solidarności i dolewanie oliwy do ognia i tak już sprzecznym z intere-

sem rewolucji antagonizmów poza-sjalnych. Ktoby w tym czasie bawił się w słowiaństwo (czy wschodnio-rosyjski jego równoważnik, panturanizm) ten przeszkadzałby globalnej rozbudowie rewolucji, czyli w niedwuznacznej terminologii sowieckiej sabotowałby ją; inaczej mówiąc, ten byłby kontrrewolucjonistą i powinien być zlikwidowany. Amatorów tego ryzyka nie było.

W swoich latach pisarskich Stalin (dla jeszcze lepszych racji osobistych od Lenina) nie dotknął problemu słowiańskiego, który w jego wyobrażeniu zapewne nie istniał. Ale w rozprawie "Nacjonalnyj Wopros" powiada on niedwuznacznie, że "polityka narodowa jest narzędziem oszukiwania mas". "Kwestja praw narodów nie jest sprawą oderwaną i samą w sobie, ale częścią ogólnego problemu rewolucji proletariackiej, podporządkowaną całości i wymagającą rozpatrzenia pod kątem widzenia (tej) całości". W takim rozumowaniu ówczesnego Stalina nie mogło być miejsca na motywy słowiańskie, czy wogóle rasowe.

Taka teza była zresztą odbiciem rzeczywistości. Słowianie bynajmniej nie reagowali pozytywnie na hasła rewolucji rosyjskiej. Solidarność słowiańska między Rosjanami nie zahamowała zacieklej wojny domowej. Ukraińcy kijowscy nietyle dobrowolnie opowiedzieli się za rewolucją, ile ulegli przemocy Moskwy. Od 1917 roku do dziś dnia tylko gwałtowne czystki, stała krwawa eliminacja ukraińskiej elity narodowej, masowe deportacje Ukraińców na wschód i kolonizacja nie-Ukraińców na Ukrainie podtrzymują zależność tego kraju od władzy centralnej w Moskwie. Ani Polacy, ani Jugosłowianie, ani Bułgarzy, ani nawet Czesi i Słowacy nie zadrgali unisono, w poczuciu przynależności słowiańskiej, na wieść o rewolucji w Rosji. To nie Słowianie, ale Bawarowie i Węgrzy imitowali podówczas na krótko tę rewolucję, tak jak naśladują ją dzisiaj północni Chińczycy. Oberśłowianin Benesz uznał Związek Sowiecki dopiero w 1934 roku.

W Europie pomiędzy dwiema wojnami, po zachodniej stronie ówczesnej żelaznej zasłony o setki mil od dzisiejszej, ruch słowiański po raz pierwszy uzyskał korzystne warunki rozwoju w jedynych naturalnych dlań poza-politycznych ramach. W świecie lat 1918-39 Jugosłowianie, Czesi i Polacy byli wolni i równi sobie, poza nieproszoną opieką "starszego brata". Ale Bułgarzy i Słowacy nie mieli w praktyce równej z nimi rangi, Ukraińcy małopolscy byli (poniekąd i z własnego wyboru) obywatelami drugiej klasy, Jugosłowianie byli pokłóceni między sobą. Interesy na-

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879".

rodów słowiańskich były w dużym stopniu wspólne, ale w niemiejszym stopniu rozbieżne. Rozbieżność ich interesów i aspiracji, skutecznie rodmuchiwana przez intrygi mocarstw — niemieckie, sowieckie, włoskie, także francuskie — w praktyce okazała się silniejsza od solidarności plemiennej. Jak dalece była silniejsza, stało się widoczne w przededniu i podczas drugiej wojny światowej.

Niema w tym artykule miejsca na analizę, nawet najkrótszą, tych przeciwności, których opis równoznaczny byłby z historją Europy centralnej i wschodniej niedawno minionych lat. Druga wojna jeszcze bardziej od pierwszej dowiodła, że w sensie politycznym solidarność słowiańska była fikcją. W pierwszym okresie tej wojny, do czerwca 1941, Polacy i Serbowie znaleźli się w jednym obozie, Kroaci, Bułgarzy i Słowacy (a z biegiem czasu bardzo wielu Ukraińców i dezertery Własowa) w drugim; Czesi jakby zawiśli w pośrodku, bo tracąc niepodległość, zachowali w ramach "protektoratu" stanowisko uprzywilejowane, bowiem to samo wyżywienie co Niemcy, niemiejszy od nich rozmach produkcji i zatrudnienia — i wolność od mobilizacji. A Rosja? Wielka Encyklopedia Sowiecka, w jej ostatnim wydaniu, powiada że "na przestrzeni wieków, największy z narodów słowiańskich — naród rosyjski — jest obrońcą wszystkich narodów słowiańskich przed niemieckimi drapieżnikami". W niejakiej sprzeczności z tą tezą, naród rosyjski ani w 1772, 1793, 1795 i 1815 roku, ani też latem 1939 roku nie miał w tej sprawie do powiedzenia; natomiast rząd jego, nie mając perspektywy opanowania całości Polski, po raz

czwarty z rządu podzielił się nią z Niemcami, poczem natychmiast przystąpił do ewakuacji przyłączonych braci słowiańskich do Azji. W Katyniu, obrona narodu polskiego przed drapieżnikami niemieckimi doszła do najwyższego napięcia. Jeszcze przedtem rząd sowiecki poniechał Czechów w epoce Monachium i skreślił z listy dyplomatycznej posta czeskiego w Moskwie (podczas gdy w nie-słowiańskich Paryżu, Londynie i Waszyngtonie koledzy jego byli w dalszym ciągu uznawani); to samo spotkało posta Jugosławji zaraz po zajęciu przez Niemców Belgradu w kwietniu 1941. W chwili przekraczania Bugu przez wojska niemieckie, jedynym dyplomatą słowiańskim w Moskwie był Bułgar.

Czytelnik ma niezawodnie w świeżej pamięci wolę słowiańska rządu sowieckiego z lata tego roku. W godzinie próby, rekwizyt jedności słowiańskiej został odnaleziony na śmietniku, na którym leżał przez pokolenie. Gdy Niemcy byli już pod Smoleńskiem i Kijowem, kilku generałów sowieckich, Aleksy Tołstoj, Korniejczuk z żoną Wandą Wasilewską i różni emigranci słowiańscy zostali "odkomenderowani" z armji czerwonej i z Kominternu na nowokreowany front słowiański. Odszukano dyplomatów czeskich i jugosłowiańskich i zawarto, z zamiarem zerwania go przy pierwszej sposobności, układ z generałem Sikorskim. Otwierając w sierpniu 1941 wszechsłowiańska konferencję w Moskwie, Tołstoj oświadczył: "Nasza jedność powinna być jednością równych". Ta piękna teza Czartoryskiego z 1830 roku miała kurs polityczny równe dwa miesiące, do chwili zatrzymania Niemców pod Moskwą. W kilka tygodni potem, tego samego dnia gdy generał Sikorski lądował w Kujbyszewie w drodze do Moskwy, w sąsiednim Saratowie obradował już w tajemnicy zjazd "patriotów polskich" z Kominternu, przewidzianych na rząd słowiańskiej Polski na wypadek, gdyby okoliczności wojenne i stanowisko aliantów miały na to pozwolić. Patrioty ci, w porównaniu ze zwyczajnymi Polakami w Warszawie i Londynie, mieli zaletę absolutnej elastyczności ideowej i zamiłowanie do noszenia obroży.

W tej liczbie byli oni gotowi do słowiańskości na podstawie nierówności partnerów, z zaprzeczeniem tezy Tołstoja. Nie pozwolono im jednak przez długi czas manifestować tej słowiańskości inaczej, niż w demagogicznych ogólnikach bez praktycznej treści. Dopiero gdy pod koniec wojny przekonano się na Kremlu, że z dwojga złego Niemcy wolą być zajęci przez Pattona, niż przez Żukowa, podczas gdy długa indoktrynacja jeńców wo-

jennych niemieckich z pod Stalingradu przyniosła mierne rezultaty, innemi słowy dopiero wtenczas, gdy Kreml stwierdził naocznie, że spekulacja wyższego typu na rewolucję sowiecką w Niemczech — przynajmniej w tym okresie wojny — rokuje mniej powodzenia od skromniejszego programu kontroli armji czerwonej nad "zjednoczoną" Słowiańszczyzną, — dopiero wtenczas pozwolono, czy raczej nakazano "patriotom polskim" domagać się granicy polskiej na Odrze i prześcignąć w programie rewindykacji narodowych wszystko, co kiedykolwiek przyszło do głowy ich politycznym konkurentom. Wtenczas to komuniści polscy, ci sami, którzy od 1918 do 1936 roku wzywali do powrotu do Niemiec, Gdańska, Śląska i Pomorza, a przez pierwsze dwa lata wojny palcem nie ruszyli przeciw Hitlerowi w Warszawie, oblekli stroje starosłowiańskie i nagle przemówili językiem, którego w Polsce nikt nie używał od czasów pierwszych Piastów, — prawda, że w marxistowskim ujęciu. Dalszy przebieg sprawy jest znany. Logika rzeczy musiała doprowadzić tych ludzi do "bloku słowiańskiego" wśród Zjednoczonych, ale nie naprawdę, Narodów.

Wiele sprzymierzeńcy Kremla, a przynajmniej jeden z nich, natychmiast złapali się na wędkę słowiańską. Latem 1941 roku wpływom kołom oficjalnym, a jeszcze bardziej zakulisowym amerykańskim bardzo chodziło o to, aby wiadomości z Rosji, która już była w wojnie, interpretowane były przez opinię amerykańską w możliwie najlepszym świetle. Nowopoklamowana z Kremla jedność słowiańska nadawała się do tego celu. Przez zbieg okoliczności, jedna z pierwszych po temu okazji zdarzyła się w sam dzień Pearl Harbor. Na ulicach Detroit sprzedawa-

no właśnie dodatki nadzwyczajne z wiadomością o ataku japońskim, gdy prokurator generalny Biddle, przemawiając z polecenia Białego Domu na bankiecie słowiańskim w tym mieście, dał w ten sposób ruchowi słowiańskiemu w Ameryce placet administracji. Większość Amerykan pochodzenia polskiego od samego początku odniosła się nieufnie do tej inicjatywy, na której wyrosło kilku gotowych do wszystkiego karierowiczów. Gdy w kwietniu 1942 w tym samym Detroit zebrał się kongres Słowian amerykańskich, rząd sowiecki zerwał był właśnie od paru dni stosunki z rządem polskim w Londynie i podrywał już akcję Michałowicza. Kierownictwo ruchu "słowiańskiego" w Stanach Zjednoczonych było już otwarcie w rękach komunistów. Słowianie amerykańscy przejrzyli już wtenczas na oczy w ogromnej swej większości, ale trzeba było niemal czterech lat, aby masowa opinia amerykańska zrozumiała, iż w tej rzekomo lojalnej i patriotycznej akcji od samego początku chodziło o stworzenie organizacji, posłusznej każdemu drgnięciu polityki zagranicznej Kremla, innemi słowy piątą kolumnę. W ostatecznym zdarzeniu zasłony z istoty tego ruchu wielką rolę odegrał patentowany i dziedziczny Słowianin Oskar Lange. Od chwili jego występu na mityngu "słowiańskim" w Nowym Jorku we wrześniu r. b., nikt myślący na własną rękę nie może mieć wątpliwości, na czym polega i komu służy jedność słowiańska w Ameryce i, co ważniejsze, w Europie.

Oto, w kilkuset wierszach, skrót historii politycznej ruchu słowiańskiego od Katarzyny do Mołotowa. Piszący te słowa zdaje sobie sprawę, że wiele musiał w tym skrócie pominąć, ale mniema, że nie uronił jego istotnego sensu moralnego. Historia ta wskazuje, że sporadyczne w miarę wygody i okazji posługiwanie się hasłem jedności słowiańskiej nieźle opłaciło się obu Rosjom, carskiej i sowieckiej. Skutkiem tego programu dla innych Słowian jest głównie to, że zamiast tureckiej, austriackiej, węgierskiej, niemieckiej, włoskiej czy polskiej kontroli, popadli oni w kontrolę sowiecką, bez porównania głębszą i bardziej sprawną, i to bezpośrednio po dwudziestolecu, w ciągu którego przynajmniej niektórzy z nich byli panami na własnej zagrodzie. Specyficznie dla Polaków konsekwencje tej słowiańskiej polityki były od XVIII wieku i są zabójcze. Jeśli historia czegoś nas uczy, to właśnie nieprzenajmniej aktualności wiersza Puszkina.

W następnym artykule rozpatrzmy teorię ruchu słowiańskiego w świetle argumentów logicznych i moralnych.

W POPRZEDNIM 46 (203) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Ludwik Berger: Tragiczne położenie polskich uchodźców na Środkowym Wschodzie; Jerzy Andrzejewski: Powrót; Tymon Terlecki: Wielka książka emigracji; Kazimierz Wierzyński: Brzoza; Romuald Gantkowski: Neutralność; Ernest Reiss: Indele i Mendele; Franciszek J. Wazeter: Rozmowy z Polonją; Tydzień polityczny; Kronika polsko-amerykańska; Opinie i zdarzenia.

LUDWIK BERGER

KOPALINY I WYKOPALISKA

W natłoku wypadków politycznych, które rozgrywają się codziennie w Palestynie i dookoła Palestyny, ludzie przyzwyczaili się nie zauważać, że kraj o który walczą Żydzi i Arabowie, jest miejscem wielkich skarbów naturalnych i miejscem wielkich skarbów archeologicznych. Nie zauważono w ostatnim czasie, nowych palestyńskich odkryć kopalinowych i wykopaliskowych.

Dotychczas głównie eksploatowano w Palestynie skarby surowcowe Morza Martwego. Obecnie, po raz pierwszy w dziejach tego kraju przystępuje się nie eksperymentalnie, lecz realnie-gospodarczo do eksploatowania jego złóż ropnych.

Badania, przeprowadzone na przełomie 1946 r., wykazały, że tereny położone dookoła starożytnego miasta Gaza posiadają strukturę i bogactwo ropne, nieustępujące w niczem nafto-nośnym terenom w Iraku. Tereny pod Gazą będą w najbliższych tygodniach wiercone w punktach, gdzie ustalono już niewątpliwe bogactwo złóż.

Do wiercenia przystępuje palestyńska spółka, stanowiąca lokalną odnogę Iraq Petroleum Company. Drugi, równie bogaty punkt ropnośny na terytorjum palestyńskim znajduje się w Dżebel Usdum, t. j. w miejscu, gdzie znajdowała się biblijna Sodom. W tym drugim punkcie podejmuje eksploatację Jordan Exploration Company, związana kapitałowo z Palestine Potash Co.

Dla ustalenia złóż naftowych, znajdujących się w obu wymienionych punktach Palestyny zostały przeprowadzone najbardziej nowoczesne badania t. zw. metodami "sejmograficznymi". Celem przeprowadzenia tych nowych "seismograficznych" badań sprowadzono po raz pierwszy na Bliski Wschód amerykańskich geofizyków, którzy swoimi sposobami wierceń pionierskich pobili tu uprzednie brytyjskie badania t. zw. "grawimetryczne". Samą akcję eksploatacji gospodarczej powierzyły obie nowe spółki naftowe specjalistom wiertnikom, przybyłym z Texasu.

O pozycji naftowej, jaką wkrótce posiadać będzie Palestyna, mówi także i realizowany już obecnie plan zakładania nowego rurociągu z Mossulu i Kirkuku do Haify i Tripoli w Syrii. Będzie to zatem już drugi rurociąg ropny, prowadzący przez całe terytorjum Bliskiego Wschodu do ujść na Morzu Śródziemnym w Haifie i w najbliższej z nią sąsiadującym porcie Tripoli. Przewidywana jest budowa trzeciego rurociągu do Haify, na wio-

snę 1947 r., t. j. natychmiast po puszczaniu w ruch wielkich wierceń na terytorjach pod Gazą i w Dżebel Usdum.

Obok prac kopalniano-surowcowych postępują obecnie w Palestynie na dużą skalę zakrojone prace wykopaliskowo archeologiczne. Przed kilku tygodniami wykryli archeolodzy, kierujący pracami, wykopaliskowymi, szczątki dobrze zachowanego biblijnego miasta Tirza, rezydencji królów izraelskich w okresie, który w Starym Testamencie nosi nazwę czasów "od Jeroboama do Omri".

O mieście Tirza mówi autor "Pieśni nad Pieśniami". Z czasem na miejscu starożytnej Tirzy wyrosła późniejsza "nowoczesna", choć w naszych oczach tak bardzo stara, Samaria. Wyniki prac wykopaliskowych w starożytnym biblijnym mieście Tirza uchodzą za jedno z największych odkryć archeologicznych w tej części świata. Do miejscowości Tel El Fara przyjechało w ostatnim czasie wielu wybitnych archeologów z Francji, Anglii i Ameryki.

Rząd francuski wydelegował specjalną komisję archeologiczną dla spraw Tirzy. Francuzi działają w dziedzinie archeologicznej na gruncie

palestyńskim przez swój własny "Komitet Wykopaliskowy". Anglicy prowadzą swe badania w Tirzie przez jerozolimską Szkołę Biblijną i Archeologiczną. Nadspodziewanie duże i nadspodziewanie rewelacyjne obiekty wykopaliskowe z Tirzy zostały w części przewiezione do muzeum Szkoły Biblijnej i Archeologicznej w Jerozolimie.

Wśród wykopanych grobów wojowników z okresu z przed conajmniej pięciu tysięcy lat, znaleziono czytelne jeszcze zapiski, które świadczą, że w owym czasie toczyły się na tym samym terenie walki o wpływy potęg, formowały się orientacje polityczne za jednymi a przeciwko innym mocarstwom — zupełnie podobnie jak dziś.

Minęły tysiąclecia. Całe miasta potężne zapadły się pod ziemię, a uwarstwiały się na ich nowe siedziby ludzkie. Dążenia i marzenia ludzi pozostały jednak niezmiennione. Polityczne układy sił przemijają. Potęgi, wyrosłe na opanowaniu woli ludów pozostawiają po sobie odłamki grobowców i szczątki zniszczonych naczyn do jedzenia. Ludzkie dążenie do sprawiedliwości i do wolności pozostaje i poprzez odległość tysięcy kilometrów żywa.



Pomnik powstańców 1863 r. na cmentarzu łyżczakowskim we Lwowie.

CHUDZYŃSKI EDWARD EUGENJUSZ

KRWAWO CZEKAMY

Krwawo czekamy, zbrojnie czekamy,
z okna do okna, z bramy do bramy.
W płonących nocach i w świtach białych,
od barykady, do barykady...

Słuchać baterje, biją ze wschodu...
Nie mamy broni, konamy z głodu,
w płomieniach Wola, w gruzach Czerniaków,
— Chorał przebija przez huk granatów.

Biją ze wschodu, słysząc armaty!
— (W dusznych piwnicach krwawe roraty,
domy — płonące stosy zapalek)
Słysząc z za Wisły ognia nawałę.

Mają przeprawę, rzucili w nocy
dwa bataljony... Pozór pomocy.
Sciska się pierścień wokół śródmieścia
Chorał w głośniku dźwięczy złowieszczo...

Krwawo czekamy, w męce czekamy,
wyschnięte studnie, zwałone bramy.

Wychudłych dzieci łzawe modlitwy,
...o kęsek strawy, lub o zgon rychty...

Ucichło miasto, w ciszy zakrzepło.
I tylko w sercach rozpaczy piekło,
i tylko chwile zdają się wiekiem-
i tylko słysząc bitwę daleką...

Ucichło miasto, dłużej nie wytrwa,
tylko z głośnika melodia zchrypta,
a zdala z wichrem poszum się niesie
i tańczą liście po krzyżów lesie.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej.
Umilkły echa salwy ostatniej...
Gdzieś pośród ruin pies zawył blisko.
Akt się dopełnił... POBOJOWISKO...

W blasku płomieni, w ulicznym pyłe
zastygłe, groźne śpią Termopile.
Zetlących dachów blachą pogiętą
sterczą ku niebu... Trupie memento...

Z obrazów polskich znajdujących się w Ameryce



Wędrowni muzykanci.

Fr. Streit, 1839-1890.

JÓZEF WITTLIN

Batiary, kołtuny i aromatarjusze

(Z KSIĄŻKI "MÓJ LWÓW" MAJĄCEJ SIĘ WKRÓTCĘ UKAZAĆ NAKŁADEM "BIBLIOTEKI POLSKIEJ")



Józef Wittlin

Jak gawrosz stanowił niegdyś okaz ludzkiej fauny Paryża, tak najpospolitszym przedstawicielem człowieczej fauny Lwowa jest dziecko ulicy, znane w całym cywilizowanym i niecywilizowanym świecie pod madziarską nazwą batiara. Mylnie wszakże byłoby mniemanie, że każdy batiar jest dzieckiem ulicy, a za ojca ma rynsztok. Batiary rodziły się również w patrycjuszowskich pałacach, a często w szlacheckich dworach. Niejeden z nich później trząsał parlamentem wiedeńskim lub chadzał w profesorskiej

todze, pobrzękując dziekańskim, a nawet rektorskim łańcuchem, a nie — kajdanami. A po łacinie gadał — no trudno — z akcentem górno-tyczakowskim lub zamarstynowskim, co przecież nie mogło razić cieni starożytnych Rzymian, skoro nie wiemy, jak brzmiała antyczna łacina. Kto znał ś. p. profesora Wilhelma Bruchnalskiego, jednego z najznakomitszych polonistów lwowskiego uniwersytetu, lub ś. p. profesora Zygmunta Łempickiego, któremu Niemcy wynagrodzili śmiercią w Oświęcimiu długolet-

nie nauczanie w Uniwersytecie Warszawskim ich języka i literatury, nie zarzucił mi przesady. A skoro już wspominamy męczenników tej wojny, winniśmy złożyć hołd areylwowskiej postaci, zbliżonej do batiara, jaką był ś. p. profesor Bartel, wielki "ktoś", uczony, mąż stanu i patrijota. Kawał batiara tkwi w samym mieście, w całej jego fizycznej i moralnej strukturze. Wzniesienia i zapadłości, egzaltacja i przyziemność, balsamiczne wonie i pełtewny cuch. Przejrzysty włoski renesans, kościelny i świecki, dzieła Pawła Rzymianina i Pietro Italo-Krasowskiego, równie bogaty barok, a obok wiedeńska secesja i kszarowa tandeta. Miasto — batiar jest nieobliczalne. Nie wiadomo kiedy przejdzie od patosu do groteski, od bohaterstwa do "strugania funia", od pogrzebu w trzy pary, farbowanych na czarno, koni Kurkowskiego do — mitycznego "balu weteranów", zakończonego o północy zjawieniem się "dwóch cywili", którzy nie nikomu nie mówili, światła pogasili i tylko w mordę bili.

Obok batiara zasłynął także lwowski kołtun. Typ to, jak wszystko, lwowskie, złożony i trudny do zdefiniowania. Bo, co jest kołtun? Dostawnie, choroba uwłosienia, spowodowana brudem. Po łacinie: plica polonica. W przenośni: człowiek nieoświecony, nieokrzesany, zacofany. Skrzywdzilibyśmy lwowską kołtunerję tą definicją. Albowiem nasz kołtun — to przede wszystkim członek bractwa kurkowego "Strzelnica". Większość braci stanowili cobywada niebardzo biegli w humaniorach majstrowie i starsi różnych cechów, nie wyłączając rzeźnickiego, lecz obok nich należeli do "Strzelnicy" także ludzie wykształceni, delikatni, a nawet, jak się przekonamy — uczeni. Naogół lwowski kołtun — to poczciwy gbur, niewybredny łyk, bohater sztuk Gąbrjeli Zapolskiej. Przytem patrijota, przeważnie lokalny, z odcieniem tromtadracji. W patetycznych momentach był kołtun skłonny do wielkich ofiar — z cudzego życia i mienia. Niekiedy nawet z własnego. Dużą rolę za mojej pamięci odegrała kołtunerja strzelnicowa na lwowskim ratuszu, dostarczając miastu kilku wybitnych burmistrzów, jak: kowal Michał Michalski, blacharz Stanisław Ciuchciń-

ski i drukarz Józef Neumann. Rozumie się, że "Strzelnica" majoryzowała ławy radnych miejskich. Co roku wybierali bracia kurkowi swego króla i, wbrew temu, cośmy rzekli o niechęci Lwowa do pompy — występowali na uroczystościach nadzwyczaj strojnie i szumnie: w kontuszach, przy karabeli, jak herbowa magnaterja. Strój ten był oddawna przywilejem lwowskiego patrycjatu i niejako oficjalnym umundurowaniem prezydentów i wiceprezydentów miasta, bez względu na ich pochodzenie i wiarę. Jednym z trzech wiceprezydentów miasta, zawsze był żyd, który na galówki też kładł czarny kontusz i przypasywał karabelę. Nikt się temu nie dziwił i nikogo to nie gorszyło.

Z wszystkich specymenów klanu kołtunów kurkowych najlepiej utkwił mi w pamięci radny Walery Włodzimirski. Z zawodu chemik, miał swoje laboratorium na parterze starej kamienicy przy ul. Jagiellońskiej — naprzeciw "Pawilonu szampańskiego". Chodziłem tamtędy do szkoły i nieraz ulegałem pokusie zajrzenia przez niskie okna — do środka. To, com widział, podziś dzień kojarzy mi się raczej z alchemią, niż chemią. Była to bowiem pracownia Fausta. Olbrzymia, nie pamiętam już — czy sklejoną salą, zapchana stołami, szafami, półkami, na których gęsto połykuje szkło najfantastyczniejszych kształtów... Dziwacznie poskrecane rury, leje, naczynia połączone, brzechate banie, butle, metalowe zbiorniki, retorty i próbówki, puste lub napełnione cieczą najrozmaitszych barw. A w tajemniczej głębi dymią piece, piecyki, sapań miechy, a wszystko — w niezmiernym, płowem świetle gazu. Czasem buchną jakieś niesamowite ognie i odbiją się wielokrotnie w baterjach szkła. Kłęby pary na moment wszystko zakrywają, aby następnie odstąpić całe to czarnoksiężstwo, wśród którego uwija się jedyna ludzka postać — niskiego wzrostu, w tużurku, o twarzy rumianej, ozdobionej dużymi, czarnymi, cesarskimi bokobrodami. Niekiedy przytknie do ust długą szklaną piszczałkę: zagra jakąś czarodziejską dumkę i obudzi uśpione w słojach trucizny i wyzwoli uwięzione śmierci, które zaczną się wici, jak węże, zakłęte graniem derwisza. Lecz nie przypominam sobie, żeby jakowyś dźwięk wyszedł z lewara, choć

magik Włodzimirski dął zapamiętane, aż mu policzki spęczniały, a czarne bokobrody rozpostarły się na boki, niby skrzydła egzotycznego ptaszyska. Jeszcze chwila, a oderwą się od twarzy i ulecą w powietrze. W takiej chwili utożsamiałem Włodzimirskiego z czarodziejem Fregolo, który, obok, w sąsiednim domu, w kinie "The Dreamland", przy dźwiękach fisharmonji wyskakiwał na płótno z bajecznie kolorowych kwiatów i przepadał w fosforycznej chmurze dymu. Był

to jeden z miraży owej poetycznej fazy młodej, podówczas, kinematografji. Tak, radny Walery Włodzimirski był niewątpliwie lwowskim Faustem. A to, że często pokazywał się publicznie w czarnym kołpaku z piórkami, w kontuszu, z karabelą i z dużym pończacym kogutem na piersi, — przydawało mu ponadto podobieństwa do polskiego czarnoksiężnika Twardowskiego. Zwłaszcza ten kogut. Czar prysnął, kiedy, pewnego dnia, kazano mi zanieść do Włodzi-



Herb miasta Lwowa

mirskiego zawinięta w papier butelczynę z nader osobistym płynem. Bo, co tu dłużej ukrywać? Nasz Faust wszystkim niemal pacjentom tej dzielnicy miasta robił analizy, zanim nie wzięli się do tego aptekarze, czyli, jak ich w dawnych nazywano wiekach — aromatarjusze.

Skoro już mowa o aptekach, wspomnijmy przynajmniej te, co przyczyniły się zarówno do zdrowotności Lwówian, jak i do malowniczości lwowskiego pejzażu. Prawie każda miała swojego patrona, pięknie uwidocznionego na szyldach i wywieszkach. Dobór patronatu nad temi arszenałami zdrowia świadczył niekiedy o dużej wyobraźni magistrów farmacji, których, nie wiedzieć czemu, pomawiano o brak wyobraźni. Bo jeśli n. p. apteka u zbiegu ulic: Zielonej i Wincentego Pola polecała swe preparaty czy klientów opiece Matki Boskiej, — wszystko w porządku. Nietylko we Lwowie modlili się do Niej ludzie o uzdrowienie. Tak samo nie trzeba tłumaczyć nazwy apteki "Pod Duchem Świętym", lub "Pod Opatrznością Boską" (wywieszka: obrzymie oko w trójkącie). Dlaczego jednak pan "aromatarjusz" Antoni Ehrbar wybrał na patrona swej apteki na dolnym Łyczakowie vs-a-vis kościoła Kларыsek — akurat rzymskiego cesarza Tytusa? Chyba nie na złość Żydom, którym ten cesarz zburzył Jerozolimę? Ował jego widniał z obu stron wejścia do apteki na kolorowych, na szkle malowanych medaljonach, ponadto samo wejście wienczyło popiersie imperatora z jakiejś imitacji brązu, czy z gipsu pofarbowanego na brąz. Żeby zaś żadnych nie było wątpliwości czytaliśmy aż w trzech językach, że to jest apteka "Pod rzymskim cesarzem Tytusem" — "Zum roemischen Kaiser Titus" — "Sous (!) l'Empereur Titus" (!). Gwoli jakim Fracuzom skaleczono na Łyczakowie ich język, trudno odgadnąć, gdyż za moich lat nietylko na Łyczakowie, ale w całym Lwowie niewielu mieszkało Francuzów. Było wprawdzie trochę "rodowitych Paryżanek" do wychowywania dzieci w t. zw. lepszych domach, ale połowa z nich urodziła się raczej nad Pełtwią, niż nad Sekwaną, "zważywszy", że i sam konsul Trzeciej Republiki, piękny pan o siwej, patryjarchalnej brodzie, był Polakiem i nazywał się Żebrowski. Był to, rzecz prosta, konsul honorowy, bo z niehonorowymi Lwów stosunków dyplomatycznych nie utrzymywał.

Dużą popularnością cieszyła się, tak u chorych jak u zdrowych, apteka "Pod węgierską koroną" na placu Bernadyńskim. Nazwa nie wymaga komentarzy, skoro "Polak, Węgier — dwa bratanki" (ale czyje?). Należała ta piękna apteka do radnego miejskiego i członka "Strzelnicy" Dra Jana

Piepes-Poratyńskiego. Z biegiem lat, Piepes, żenująca pozostałość po zasnym ojcu, który wcale nie był Poratyńskim, gdzieś przepadł, — a został się jeno sam Poratyński, mężczyzna okazały, z dużą, czarną i pod każdym względem reprezentacyjną brodą. Szczególnie majestatycznie prezentował się on w kontuszu na procesji Bożego Ciała w pobliżu długiego i siwłosiej, lecz wzrostem niepokąźnej "świętej Tulji". Nazywano tak powszechnie znanego z dewocji rektora politechniki i radnego miasta — Maksymiljana Thullie. Lecz nietyle z cnót i urody właściciela słynęła apteka "Pod węgierską koroną", ile z najpiękniejszej szyby wystawowej w całej Galicji, Lodomerji, z wielkiem itd. Była ona tak piękna, że żadnych towarów aptecznych za nią nie pokazywano. Samą siebie ta szyba wysta-

wiała na pokaz. Na tem, potężnych rozmiarów szkle, wartości trzystu koron, nietylko węgierskich, lecz austriacko-węgierskich (widzę, że powoli zaczynam myśleć w kategoriach amerykańskich), — otóż na tej 300 koronowej super-szybie, specjanami kwasami wytrawiono na matowo prześliczną koronę świętego Szczepana, patrona Węgier, ponadto — przeróżne secesyjne nenufary i girlandy, składając tym sposobem hołd smakom, panującym na początku naszego lubego stulecia. Gdy pewnego razu jacyś wandalie stłukli to, ubezpieczone zresztą, arcydzieło sztuki szklarskiej, cały "kulturalny" Lwów poruszony był do głębi, i gazety pisały o tem tak szeroko, jak wiele lat później o pięknej Gorgonowej, co w samych Brzechowicach zabiła swą pasierbicę, Lusię Zarembiankę.

KONRAD KRUPSKI

ROZBIEŻNOŚĆ

(Z księgi 3ej "Czuwania u progu")

Pewnego razu starły się kontrasty:

Dworował sobie sceptyk z entuzjasty,

Ze — przez różowe patrzac okulary —
Paradoksalne dostrzega wymiary...

Ba! — przypalając w słońcu papierosa —

Nie dopiął celu i nie ustrzegł trzosa;

Zakończył przeto:

"Wyzbądź się waś wiały!"

Tamten mu na to odparł połaźliwie,

Ze — chociaż życie czai się zdradliwie —

Przez dymne szkielko widzieć wciąż zaćmienie.

Słoneczne plamy i społeczne cienie

Może jedynie patrzący z ukosa

Okopconego posiadziel nosa;

Stąd więc konkluzja:

"Porzuć waś zgorzknienie!"

* * *

Odwiecznie —

Tak dzieciół kuł w korze kolosów:

W cieniu drzew

gromadził nas

rodzinny stół

w południe żniw,

lub sianokosów.

Pracy zew

obwieszczał czas

brzęczeniem pszczoł.

Od płowych grzyw

dojrzałych kłosów

ciepły wiew

egarniał las...

Tam dzieciół kuł

wszystkim, kto żyw,

w korze kolosów:

"Tętni krew

nad grobów gład;

nurt — ponad muł;

młodzieńczy zryw

— nad próchno losów."

JERZY ANDRZEJEWSKI

P O W R Ó T

(FRAGMENT POWIEŚCI "NATCHNIENIE ŚWIATA")

(Ciąg dalszy)

I jeszcze raz powtórzył: nie ma, z takim przejmującym akcentem, iż Gaszycki uczył, jak wszystko w nim zamiera. Zupełnie też nie poznał własnego głosu, gdy machinalnie spytał:

— Dawno, Tomaszku?

Tomaszek skinął głową. Uspokoił się już trochę, tylko dalej nie spuszczał z ojca oczu teraz zresztą bardziej czujnych i badawczych, niż jak wprzód bezradnie rozpaczliwych. Ponieważ ojciec milczał i o nic nie pytał, sam począł o wszystkim opowiadać. Dopiero po chwili Gaszycki zorientował się, że chociaż słyszy głos chłopca, nic z tego, co tamten mówi, nie przenika do jego świadomości. Tyle tylko rozumiał, że matka zginęła od artyleryjskiego pocisku.

— Gataj? — spytał.

Tomaszek, który o wszystkim dokładnie już odpowiedział był, stropił się.

— Nie — zająknął się trochę. — Przed sklepem Hiszczyńskiej, to zaraz za nami, wiesz?

Gaszycki machinalnie przytaknął.

— Tam sprzedawali chleb — mówił dalej Tomaszek — i babcia poszła... i jak stała na ulicy w ogonku, to upadł granat, na sam trotuar...

Gaszycki pogładził syna po rączce; zimna była i bardzo spierzchnięta.

— I ty tak przez cały czas byłeś sam?

Tomaszek potrząsnął głową.

— O nie! Miałem kolegów... wzięła mnie zaraz do siebie pani Świeradzka, to mama Wojtka, wiesz tego chłopca, co widziałeś, taki rudawy... oni mieszkają na pierwszym piętrze. A z Frankiem Skórzewskim założyliśmy u nas okna dytką. On wyszukał dytkę.

Miał widać ochotę o wielu jeszcze rzeczach opowiedzieć, lecz dostrzegłszy, że ojciec nie bardzo słucha, ucichł. I gdy Gaszycki na niego spojrział, dostrzegł, że chłopiec patrzy w ziemię i znów lekkie drżenie ściska mu krtań. Strasznie żałośnie i biednie wyglądał, stojąc tak ze zwieszoną głową, opuszczonemi nieporadnie rękoma, w wyszarzanej kurteczce, która nosiła na sobie wyraźne ślady wielu dni i nocy spędzonych po piwnicach.

— Trzeba nam pójść do domu — powiedział miękko. — Masz klucze, Tomaszku?

Chłopiec ożywił się.

— Nie, na górze są, ale zaraz przyniosę!

Zawahał się i spojrzął na ojca pytająco.

— Poczekasz?

— Tak.

Wsparł się twardym plecakiem o ścianę, bezmyślnie począł wpatrywać się w gruz rozsypany pod nogami. Słyszał tupot Tomaszka po schodach, stukanie na górze do drzwi, głos kobiety i zaraz pośpieszny, zadyszany głos syna. Poczul się nagle tak straszliwie znużony, iż wykonanie jakiegokolwiek ruchu wydało mu się w tej chwili wysiłkiem przekraczającym je-

go możliwości. Dopiero bliski głos Tomaszka wyrwał go z odętwnienia.

— Jestem, ojcze! — spoglądał na niego niespokojnie mały.

Wyprostował się i poszedł za chłopcem.

Mieszkanie zrobiło na nim wrażenie całkiem obcego. Nie było zresztą zniszczone, tylko w suficie w kilku miejscach się tylko osypał, a w jadalnym pokoju, w jednym rogu, ściana pobijana była odłamkami pocisków. Najgorzej wyglądały okna do połowy zabite dytką, tak że światło padało wąskim, oszklonym skrawkiem u góry i ponury półmrok wszędzie panował.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Roman Jasiński, tancerz światowej sławy występujący obecnie w Metroplian Opera, wyszedł ze szkoły baletowej warszawskiej opery, która wydała tyle gwiazd baletowych pierwszej wielkości.

Jasiński w czasie swego światowego tournée, zyskiwał wielokrotnie najwyższe pochwały czołowych krytyków świata a gorące uznanie przyniosły mu jego wspaniałe kreacje taneczne w "Fils Prodigue" i "Ikarze".

FRANCISZEK J. WAZETER

ROZMOWY Z POLONJĄ

Znane pismo "New Leader", zamieściło w numerze z dnia dziewiątego listopada artykuł, z którego treścią powinni zapoznać się wszyscy Amerykanie polskiego pochodzenia. Ponieważ przekonałem się, że wielu naszych rodaków nie czytało tego sensacyjnego artykułu, pozwolę sobie streścić go w zisiejszym artykule.

Autorem artykułu jest Sydney Hook, wybitny uczony i profesor filozofii na uniwersytecie w Nowym Jorku, a przedmiotem nie kto inny, jak ex-obywatel amerykański, "podwójny Quisling", "ambasador" komunistycznego reżymu Bieruta w Waszyngtonie, pan Oskar Lange.

Historja zaczyna się w latach trzydziestych, bezpośrednio przed drugą wojną światową. Pan Oskar Lange, wówczas stypendysta Fundacji Rockefellera, zgłosił się po swym przyjeździe do Stanów Zjednoczonych do profesora Hooka, przedstawiając się mu jako gorący socjalista i demokrat, a zdecydowany wróg komunistów. Nazwał on wówczas komunizm "rakiem" na ciele europejskiego ruchu robotniczego, a o polskich komunistach powiedział, że "jedni z nich są szpiegami policji, a inni szpiegami Stalina"...

Następny raz odwiedził Lange profesora Hooka po wybuchu drugiej wojny światowej. Przyszedł w towarzystwie dwu Polaków, którzy zostali deportowani przez Rosjan na Syberję i stamtąd uciekli do Ameryki. Mówił z najwyższym oburzeniem o zdradzie sowieckiej i wymownie przedstawiał okrucieństwa sowieckie w stosunku do kilkuset tysięcy Polaków deportowanych w głąb Rosji... Moskiewskie procesy pokazowe nazywał wówczas "komedją, której celem było przygotowanie zwrotu polityki sowieckiej ku sojuszowi z Hitlerem". W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku napisał w piśmie "Call" artykuł z najostrzejszym potępieniem dyktatury moskiewskiej, jako państwa niewoli i tyranji...

Nie koniec temu... Po zamordowaniu w Moskwie Alera i Erlicha, Lange — jak powiada dalej w swym artykule profesor Hook — nazwał Stalina "krwawym potworem"... W tym okresie Lange służył polskiemu rządowi w Londynie (nie było wówczas innego rządu polskiego — dodaje profesor Hook) i traktował reżym lubelski jako quislingowskie marjonetki.

Do tej chwili więc sprytny Oskar odgrywał rolę bojowego demokrata i idealisty. Aż nagle przyszła zmiana. "Pewnego wieczora", Lange zaczyna

rozmowę z profesorem Hookiem w jakiś nader mętny i niewyraźny sposób. Ni stąd, ni zowąd występuje z obroną i usprawiedliwieniem aktów sowieckiej agresji, rozważa tak zwane intencje Stalina, aż wreszcie przyciśnięty do muru stwierdza, iż zmienił swój stosunek do Rosji Sowieckiej, ponieważ... rozczarował się do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji...

Profesor Hook, zdumiony w najwyższym stopniu, przypomina swemu uczniowi jego dawne opinie, ale Lange wzrusza tylko ramionami: "Ludzie zmieniają poglądy, a teraz trzeba być realistą"...

A deportacja, okrucieństwa, niewolnicza praca, egzekucje Altera i Erlicha przez "krwawego potwora"?

Ale Lange już nie daje się zbić z tropu:

Egzekucja Altera i Erlicha? — Tak, oni byli rzeczywiście niewinni, ale ich egzekucja "jest wyłącznie prywatną sprawą między Stalinem, a nami".

Od tej chwili, oczywiście, stosunki profesora Hooka z "realistycznym" uczniem skończyły się ostatecznie, a pan Oskar Lange rozpoczął nową karierę w służbie "krwawego potwora" Stalina jako "ambasador" tych, których sam z pogardą określił jako "szpiegów Stalina"...

Dawne przekonania, dawny idealizm, dawni przyjaciele, sumienie, honor... któżby myślał o takich drobnostkach, gdy "realistyczna" polityka daje zaszczyty, pensje, orderzy?...

Tyle profesor Hook, którego artykuł jest jednym z najlepszych portretów nie tylko Langego, ale wielu, wielu innych Quislingów moskiewskich.

Czytając sprawozdanie nowojorskiego filozofa, człowiek zaczyna rozumieć cały bezmiar cynizmu i amoralności ukrytej za fasadą wschodniego totalizmu i kierowanych przezeń marjonetkowych rządów. Równocześnie jednak niepojętą staje się rzeczą dla czego mocarstwa demokratyczne godzą się na oddanie w takie ręce losów całych narodów...

Pod rządami Bierutów, Grozów, Tittów i innych gauleiterów moskiewskich, znaczna część Europy jest dzisiaj, tak jak za czasów Hitlera, jednym wielkim obozem koncentracyjnym. Zamiast obywatelowej w czasie wojny Karty Atlantycznej i Czterech Wolności, "wyzwolenie" przyniosło Polsce, Rumunji, Jugosławji, Węgrom, Litwie, Łotwie i Estonji — jak zauważył jeden z Displaced Persons "dwie mniej znane wolności, jak wol-

ność polowania na ludzi z zasadzki lub z nagonką, łapanie ich we wnyki jak borsuków i sprzedawanie ich skóry"!

Nad krajem naszych ojców i dziadków, nad Polską zapadła noc azjatyckiej niewoli, ale na międzynarodowych konferencjach w Paryżu i w Londynie, w Nowym Jorku i w Lake Success nie słychać ani słowa o tragedji nikczemnie zdradzonego narodu!

— Cóż mamy zrobić — pytają dyplomaci demokratyczni, bezradnie rozkładając ręce.

Na pytanie to odpowiada bardzo wyraźnie, bardzo jasno i bardzo konkretnie pismo, skierowane przez Radę Polskich Stronnictw Politycznych w Londynie do Prezydium Konferencji Pokojowej w Paryżu. Piętnując bezprawia popełnione na Polsec od czasu Jej "wyzwolenia" w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, wbrew zobowiązaniu międzynarodowemu, wbrew Karcie Atlantycznej i zasadom Statutu Organizacji Zjednoczonych Narodów, Rada Polskich Stronnictw domaga się:

1) Wycofania z Polski wojsk sowieckich i NKWD. 2) Cofnięcia uznania tak zwanemu tymczasowemu rządowi w Warszawie. 3) Przywrócenia uznania konstytucyjnie prawowitym władzom polskim. 4) Zorganizowania pokoju w Europie na zasadzie prawdziwej niezawisłości narodów i jedności Europy, a nie podziału jej na mocarstwowe sfery wpływów.

Cel i program są jasne. Stoją za nimi nie tylko niepodległościowe stronnictwa polskie, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent wszystkich Polaków. I stoi za nimi cała zorganizowana Polonja Amerykańska.

Chodzi oto tylko, byśmy potrafili naprawdę uruchomić wszystkie nasze siły dla zrealizowania tego programu. Po to został stworzony i po to istnieje Kongres Polonji Amerykańskiej! Czas ucieka szybko a sprawa niepodległości Polski nie została dotychczas postawiona dość jasno i dość mocno nawet na terenie Stanów Zjednoczonych. W ostatnich miesiącach pobili nas swą ruchliwością i swą inicjatywą nawet stosunkowo słabi liczebnie Amerykanie litewskiego pochodzenia! Mamy niepłoną nadzieję, że już w najbliższych dniach dowiemy się o zamierzeniach w tej dziedzinie naczelnych władz Kongresu Polonji i jego prezesa mecenasa Karola Rozmarka, który świeżo wrócił z Europy, niewątpliwie z nowym zapalem sił i energii!

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Czwarty tydzień obrad zgromadzenia Narodów Zjednoczonych zwiększył tylko zamieszanie, dotąd w tej dziwacznej instytucji wytworzone przez ścieranie się wielkomocarstwowych interesów, zasłanianych mgłą frazesów o demokracji, o pokoju, o jedności wielkich mocarstw, o prawach małych narodów i t. d. Ogrom obłądy, zawarty w przemówieniach wielu delegatów, zwłaszcza w przemówieniach delegatów sowieckich i ich wschodnio- i południowo-wschodnich agentur, przestał już nawet działać drażniąco, stanowiąc zwykłą, codzienną dawkę, aplikowaną opinii publicznej. W ciągu czwartego tygodnia obrad UN oraz w ciągu trzech tygodni konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki, nie udało się rozwiązać istotnych głównych kwestyj, w niektórych sprawach nie osiągnąwszy nawet żadnego formalnego, pozorowanego postępu.

Sprawa Triestu, od której zależy — w dzisiejszym położeniu rzeczy — kwestja układu pokojowego z Włochami, utknęła na martwym punkcie; Mołotow wciąż nalega, aby mocarstwa anglo-saskie oznaczyły termin, możliwie jak najprędzej, ewakuacji brytyjskich i amerykańskich sił okupacyjnych z terytorjum triesteńskiego. P. Byrnes i p. Bevin propozycja w tej sprawie różne wyjścia kompromisowe, jednak bezskutecznie dotąd, albowiem Mołotow żąda ustalenia już teraz, terminu ustąpienia wojsk anglo-saskich, bez uzależniania tej ewakuacji od stanu wewnętrznego położenia politycznego na t. zw. Wolnym Obszarze Triestu. Jakimi pobudkami kieruje się w tej sprawie Mołotow i jakie cele realne mu przyświecają, wskazane już zostało, na tem miejscu, przed tygodniem.

Również i wewnątrz zgromadzenia UN, centralne zagadnienia, znajdujące

się na porządku dziennym obrad, mianowicie: sprawa zniesienia bądź ograniczenia prawa weta, kwestja ujawnienia stanu i dyzlokacji sił alianckich w krajach t. z. niewrogich oraz zagadnienie powierniczego administrowania posiadłościami mandatowymi i kolonialnymi, należącymi do krajów, związanych z Niemcami, narażają na coraz to inne trudności, komplikujące istotę samych tych zagadnień. W sprawach weta, Mołotow okazuje nieustępliwość całkowitą, czemu się dziwić nie należy, albowiem prawo weta jest dla Rosji Sowieckiej najbardziej skutecznym środkiem wpływania na decyzje Rady Bezpieczeństwa i powstrzymywania posunięć dla Moskwy niewygodnych, niekorzystnych, niebezpiecznych. Co się tyczy kwestji ujawnienia stanu i dyzlokacji wojsk obcych na obszarach krajów t. z. niewrogich, kwestji wysuniętej przez Rosję Sowiecką, bynajmniej nie dla zaspokojenia ciekawości statystycznej i teoretycznych studiów naukowców — strategów, panuje w kierowniczych kołach państwowych brytyjskich a także i amerykańskich, duża niechęć do ujawnienia tego rodzaju danych, w teraźniejszej sytuacji międzynarodowej. Zgłoszone w tej materji poprawki amerykańskie, zmierzające do rozszerzenia sfery dochodzeń i zapewnienia prawa skontrolowania ujawnionych danych, nie pozyskały dotąd całkowitej aprobaty sowieckiej. Poza tem, p. Bevin dąży do ścisłego związania sprawy ujawnienia stanu i dyzlokacji sił obcych na obszarach krajów t. z. niewrogich, z kwestją powszechnego rozbrojenia, czemu Mołotow stanowczo się sprzeciwia. Niewątpliwie, rozpoczyna się teraz nowe dyskusje na plenarnych sesjach zgromadzenia UN, sprawy te znowu zostaną przekazane komisjom i t. d., w kółko.

A tymczasem, na Bałkanach, na pograniczu grecko-jugosłowiańskim toczą się walki, w skali poważnej, pomiędzy oddziałami wojsk greckich a... właśnie, tutaj zaczyna się zagadka. Rząd grecki oskarża reżym Tita, że nasyla, uzbraja, prowiantuje t. zw. bandy partyzanckie napadające na miasta i garnizony greckie w szerokim pasie granicznym północnym. Rząd belgradzki zaprzecza i wskazuje na działania jakiejś to "armji demokratycznej" greckiej; komunistyczne pisma w różnych językach wydawane, publikują nawet komunikat wojenno-polityczny tej to "armji demokratycznej". Dzieją się na tym odcinku bałkańskim jakieś rzeczy dziwne, dosyć trudne dla dokładnego zorientowania się, ale nie na tyle tru-

dne, aby nie widzieć w tem wszystkim sowieckiego kaduceusza, którym się maćci wodę w kotle bałkańskim.

Poważne powikłania na Bałkanach, przejawiające się nie tylko zaognieniem stosunków grecko-jugosłowiańskich ale także zaostrożone przez "wolne i nieskrępowane" wybory przeprowadzone po moskiewsku w Bułgarii i teraz w Rumunji, a wreszcie, stały sowiecki nacisk na Turcję w kwestji cieśnin dardaneelskich, tworzą właściwą przyczynę przyjacielskich wizyt dużych jednostek operacyjnych floty amerykańskiej w portach tureckich i greckich. Bez wątpienia, jest to demonstracja polityczno-militarna, teraz, po paru zaledwie miesiącach, znowu powtarzana przez Stany Zjednoczone. Właśnie to, że tego rodzaju przyjacielskie wizyty są tak często powtarzane, dowodzi, że na Bałkanach i, wogóle w całym basenie morza śródziemnego, panuje stan dużego napięcia międzynarodowo-politycznego.

Podczas kiedy, w portach tureckich i greckich okręty wojenne Stanów Zjednoczonych są witane entuzjastycznie, przybycie dywizji morskiej amerykańskiej do egipskiej Aleksandrii zostało powitane przez prasę egipską dosyć chłodno. Jakiż to powód tej oziębłości? Powód jest jasny. Egipt, jeden z głównych krajów, wchodzących w skład Ligi Arabskiej, jak zresztą i inne kraje arabskie, widzą w aleksandryjskiej wizycie okrętów wojennych amerykańskich, pewnego rodzaju nacisk amerykański w kwestji palestyńskiej. Tembardziej, że wizyta amerykańska w Aleksandrii następuje w momencie zbliżającego się Światowego Kongresu Sjonistycznego, który niebawem zbierze się w historycznej dla sjonizmu Bazylei szwajcarskiej.

ZBIÓR WIERSZY

A. JANTY

"WIDZENIE WIARY"

Cena \$2.50

Do nabycia w

"BIBLJOTECE POLSKIEJ"

157 East 64 St., New York City

Piękne, artystycznie wykonane,
wielokolorowe

Kartki Świąteczne

MALARZY POLSKICH

S. CHROSTOWSKIEGO

I. LORENTOWICZ

Z. STRYJEŃSKIEGO

i M. WERTEN

Do nabycia w

"BIBLJOTECE POLSKIEJ"

157 East 64 St., New York City

Komplet 15 kartek \$1.50

Zamawiajcie natychmiast!

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

WAŻNA AKCJA KONGRESMANA J. J. LESIŃSKIEGO

Energiczny przewodniczący kongresowej komisji imigracyjnej, kongresman Jan J. Lesiński, zarządził przeprowadzenie szczegółowego śledztwa w sprawie masowego szmuglowania komunistów z Kanady do Stanów. Okazało się, że Detroit jest bramą wejściową tej czerwonej fali która napływa z Windsoru. Są to przeważnie ludzie nie posiadający obywatelstwa kanadyjskiego, przekonani że w Stanach przy poparciu miejscowych komunistów i "fellow travellers" będzie można łatwiej ryc i bruździć.

Przeprowadzane śledztwo odsłoni kulisy tej niebezpiecznej afery i dostarczy materiału Kongresowi, któremu kongresman Lesiński złoży szczegółowe sprawozdanie.

"KOŃSKA" INFILTRACJA

Organizatorzy wysyłki do Polski koni, akcji skądinąd pięknej, jak się obecnie okazuje, pod jej pokrywką usiłują przesączać w szeregi Polonji propagandę biertowskiego reżymu. Niektóre czujne pisma polsko-amerykańskie zwróciły uwagę na tę szkodliwą dla interesów Polski robotę, przysłanianą działalnością charytatywną. Sprytny to trick. Na szczęście Polonja szybko zorientowała się i zdemaskowała tę robotę dywersyjną, która zdołała dostać się na fale programów radiowych naprzykład w Chicago.

Polonja chętnie wysyłać będzie konie wyniszczonym przez wojnę rolnikom polskim, ale stanowczo oprze się wszelkim entuzjastom usiłującym przemycić peany pochwalne pod adresem warszawskich quislingów, korzystając z akcji która przemawia do serc Polaków amerykańskich.

"FRIENDS OF POLAND"

Ta zasłużona organizacja działająca od siedmiu już lat na terenie Kalifornji, posiada obecnie nowy zarząd. Ostatnio prezesem został obrany wybitny pisarz, przyjaciel Paderewskiego i gorący przyjaciel Polski płk. Rupert Hughes. Poza tem do zarządu weszli dotychczasowy prezes John Thomson, redaktor "Citizen News" w Hollywood; Walter Scratch oraz Joe Micciche, pani Perkins, adwokat Antoni Tomczak, Wanda Kaslek, Józefa Kudlicka, Zenon Kosidowski i Stefan Pasternacki. Honorowym prezesem obrano konsula Lecha Niemojowskiego, a honorowym wiceprezesem Harolda Rounds, Amerykanina, który mówi po polsku, gdyż przez szereg lat był dyrektorem YMCA w Łodzi.

"POLSKA ZOSTAŁA SPRZEDANA" DANA"

Karol Rozmarek, prezes Kongresu Polonji Amerykańskiej, po powrocie z Europy złożył prasie amerykańskiej oświadczenie, w którym piętnuje Rosję jako jedyny naród, który zmierza ku wojnie.

"Polska podczas konferencji jałtańskiej została sprzedana w niewolę" zaznaczył Prezes Rozmarek ostrzegając, że polscy delegaci do Organizacji Narodów Zjednoczonych są quislingami.

"Grzechy Jałty prześladowają pacyfikatorów" — stwierdził prezes Rozmarek. "Organizacja Narodów Zjednoczonych, niezdolna, wobec prawa "veto", do zapobieżenia agresji ani cofnięcia zła, prędzej czy później rozbię się o skały."

Prezes Karol Rozmarek, przybywając do Chicago po swej misji europejskiej, wypowiedział w jednym zdaniu swe myśli i uczucia: "Dziękuję Bogu, że żyję w Ameryce!"

"WILNO" W KALIFORNJI

Po zwolnieniu z armii amerykańskiej osiedlił się w Kalifornji p. DudaREW-Ossetyński, popularny wśród Polonji amerykańskiej korespondent "Nowego Świata".

Wspólnie z p. Edwardem Bojanowskim, b. studentem medycyny w Krakowie, p. Ossetyński zakupił w Los Angeles kawał ziemi z 200 letnimi dębami przy ruchliwej ulicy Ventura Blvd.

Przy jednej z najpiękniejszych dróg powstała więc placówka polska "Wilno", bo tak nazwał zakochany w Wilnie Ossetyński, swą restaurację, ze

stacją benzynową i parkiem na pikniki. Są tam również kabiny do wynajęcia, co powinni sobie zapamiętać Polacy przyjezdni, gdyż w Kalifornji trudno o dach nad głową.

C Z Y T A J C I E

Bibliotekę "Tygodnika Polskiego"

"KRZYŻE I MIECZE" Kazimierz Wierzyński

(tom poezji —

Cena w oprawie \$3.00)

"O LITERATURZE POLSKIEJ"

J. Lechonia

(cena \$3.00 w oprawie)

oraz Wydawnictwo Biblioteki Pol.

"ARJA Z KURANTEM"

J. Lechonia

(cena \$1.25 i \$2.00 w oprawie)

Są do nabycia w "Bibliotece

Polskiej", 157 East 64 St.,

New York 21, N. Y.

PROSIMY ODNOWIĆ PRENUMERATĘ

JEŻELI CHCECIE:

BY wysyłane przez Was paczki do rodzin w Europie szybko dochodziły

BYŚCIE otrzymali równie szybko potwierdzenie odbioru i podziękowanie.

BY paczki doszły w stanie nienaruszonym, odrutowane i ubezpieczone

Wysyłajcie je za pośrednictwem

AMERICAN RELIEF PARCEL COMP.

152 W. 103 STREET, N. Y. C.

Tel. RI 9-2204

Zwróćcie się natychmiast o cenniki i informacje.

Potrzebni czyszciciele do budynków biurowych, do pracy nocnej. Doświadczenie niepotrzebne — 40 godzin pracy — bardzo dobra płaca. Należy zgłosić się do pana Inge — 59 Pine St., New York City.

OPINJE I ZDARZENIA

Ś. P. KS. KAZIMIERZ KORNIŁŁOWICZ

Umarł w Laskach pod Warszawą po dwuletnich przeszło cierpieniach, wywołanych męczeńskim pobytom w obozie koncentracyjnym—Ks. Kazimierz Kornilłowicz, kapłan niezwykły i jeden z najbardziej wpływowych, najbardziej twórczych przewodników polskiego życia duchowego. Ten wpływ jego był niepomiarnie większy niż stanowisko, które zmarły zajmował w hierarchji kościelnej i w życiu społecznym kraju, sięgał on bowiem do głębi dusz może milionnych ale najlepszych i nieraz tych właśnie, którzy na polskim życiu najbardziej ważyli.

To, że Ks. Kornilłowicz odebrał ostateczną spowiedź Józefa Piłsudskiego było wyrazem tego właśnie jego wpływu, tego niezwykłego autorytetu jego myśli i wiary. Terenem, z którego owo duszpasterstwo Ks. Kornilłowicza rozchodziło się na całą Polskę — był ograniczony napozór w zadaniach swych zakład dla ociemniałych dzieci w Laskach pod Warszawą. Dwie indywidualności niezwykle, dwie postacie nie tylko świątobliwe — ale niezawodnie święte: Matka Róża Czacka i Ks. Kazimierz Kornilłowicz — uczyniły z tego zakładu walczącego ze strasznym nieszczęściem nie tylko radosny dom rodzinny dla kalekich dzieci ale najpotężniejsze ognisko myśli katolickiej w Polsce, przystań dla dusz zbłąkanych, dusz szukających, dusz niezdolnych żyć w bezdusznym świecie, pragnących poświęcenia, wiary głębokiej, czynnej chrześcijańskiej miłości.

Bez wahania powiedzieć można, że na świecie całym niema dzisiaj środowiska katolickiego tak twórczego, tak intelektualnie wysokiego, tak bliskiego duchowi pierwszych chrześcijan, pełnego tak żywej wiary a tak obcego bigoterii, jak to niezwykle zgromadzenie zakonnic, księży świeckich, Franciszkanów, nawróconych desperatów, żarliwych neofitów, które nosiło znaną każdemu inteligentnemu Polakowi nazwę "Lasek". Działalność i wpływ tego zgromadzenia sięgały wszędzie, gdzie rodziła się myśl twórcza, gdzie trzeba było dobrodziejstwa wiary i pomocy miłosierdzia. Pismo "Verbum", służące prawdziwej na najwyższym poziomie zarówno formalnym jak moralnym

literaturze, dom rekolekcyjny, w którym niejedną zakamieniały sceptyk doznał cudownego nawrócenia, nade wszystko zaś osobiste obcowanie zakonnych i świeckich "ludzi z Lasek" z inteligencją warszawską i z warszawską biedą, były narzędziami tej wielkiej roboty duchowej, której przewodzili matka Czacka i ksiądz Kornilłowicz. W latach kiedy szła na zgubę dusz polskich, chowanych w wielkich tragedjach tolerancji i braterstwa—herezja nazistowska — Laski dokonały prawdziwego cudu zbratania Polaków z Żydami w imię wiary, stały się miejscem nawrócenia szeregu intelektualistów żydowskich i ich twórczej, pionierskiej, apostołskiej pracy dla Kościoła.—Dobrodziejstwa duchowe, doznawane przez tych wszystkich, którzy zetknęli się z Laskami sprawiły, że zaczęli ich poszukiwać nie tylko świeccy ale i księża również, i to najwyżsi w hierarchji — u schyłku życia, nieboszczyk kardynał Kakowski zbliżył się do zakładu i w nim odbywał swe ostatnie rekolekcje.

Rola księdza Kornilłowicza jak i Matki Czackiej — w tej wielkiej chrześcijańskiej pracy — da się porównać tylko z wpływem i zasługami świętych założycieli Zakonów. Ich myśl, ich wiara, ich serce powołały to dzieło do życia, zagrzały, natchnęły wiarą i miłością tych wszystkich, którzy podjęli ich pracę i dziś dalej ją prowadzą. Ksiądz Kornilłowicz śmiercią męczeńską, którą przyjął z nieopuszczającym go do ostatniej chwili życia uśmiechem — dopełnił życia prawdziwego świętego nowej Polski, prawdziwego patrona bohaterskiego katolicyzmu polskiego.

Jesteśmy też pewni, że to święte życie wyniesione zostanie wcześniej czy później przez Kościół do wyżyn przykładu dla całego katolickiego świata.

Ks. Kornilłowicz zostawił swe dzieło we wspólnym rozkwicie duchowym ale zarazem w biedzie i trudnościach, ciężących nad całym dziś życiem w umęczonej Polsce. Ulżyć tej biedzie, wesprzeć trud tych, którzy dziedziczą myśl księdza Kornilłowicza, pomóc Laskom, pomóc nieszczęsnym ślepych dzieciom — powinno być obowiązkiem wszystkich nas względem pamięci świętego apostoła i męczennika.

BIERUT MORDUJE KSIĘŻY

Skazanie księdza Jarkiewicza na śmierć przez powieszenie, wśród zbrodni, popełnianych na narodzie polskim przez moskiewskie gestapo polskiego pochodzenia — jest jedną nietylko z najbardziej potwornych ale zarazem najbardziej przemyślanych, najbardziej w rozumieniu tego gestapo celowych. Bierut wie dobrze nietylko jakie jest znaczenie kościoła katolickiego w życiu polskim ale zdaje też sobie doskonale sprawę że szacunek względem duchowieństwa, jest częścią polskiego obyczaju, wspólnego zarówno ziemiaństwu, chłopom i robotnikom — jeżeli więc zdecydował się na czyn godzący w tą tradycję, w ten obyczaj — dobrze napewno przedtem ten postępek przemyślał. Tym wszystkim, którzy ludzą się jeszcze, że w dzisiejszej Polsce, można je głośno wypowiadać lub starać się je szerzyć — męczeńska śmierć księdza Jarkiewicza ma te złudzenia wybić raz na zawsze z głowy, ma wszystkich lekkomyślnych, łatwowiernych, odważnych napełnić przestachem i przeświadczeniem, że Bierut i jego kaanlje nie cofną się przed niczym, że nie uszanują niczego i niczego nie zleknią.

Ksiądz Jarkiewicz ginie za tą samą sprawę, za którą w niemieckich obozach koncentracyjnych zginęli: arcybiskup Nowowiejski, biskup Kozak i wielotysięczny zastęp bojowników o wiarę, o jedność ludzką, o wolność, ginie z rozkazów nie tych samych wprawdzie, ale takich samych, wydawanych w imię tej samej siły bezbożnej, idącej na zniszczenie wszystkiego co boskie i co ludzkie. Jego śmierć powinna otworzyć wszystkie oczy, które jeszcze nie chcą spojrzeć jasno na to co się w Polsce dzieje, powinna zmusić do milczenia tych wszystkich, którzy jeszcze mówią o "współpracy Kościoła z Państwem w Polsce". Duchowieństwo polskie w Ameryce powinno z tego męczeństwa uczynić sztandar swej walki o wyzwolenie Polski, bez którego Kościół katolicki nigdy w niej nie będzie wolny.

"SIADAJ PAN I NIC NIE GADAJ PAN"

Widzowie i słuchacze obrad UN, nie Polacy uprzedzeni ale bezstronni cudzoziemcy, czynią sobie zabawę z przypatrywania się jak t. zw. "delegacja" polska z plagiatorem Rzymowskim na czele we wszystkich co mówi i robi idzie za rozkazami delegacji sowieckiej, jak ów Rzymowski wsta-

PAMIĘTAJMY O GŁODNYCH DZIECIACH
W POLSCE

je, siada, mówi albo milknie jedynie w zależności od tego, co mu powie na ucho albo gestem wskazuje odpowiedni urzędnik sowiecki, delegowany do dyrygowania polskimi quislingami. Wśród tych widzów są ludzie miękkiego serca, którzy odczuwają dla Rzymowskiego, Langego, Winiewicza litość, widząc jakich manewrów, jakich wykrętasów fizycznych dokonują oni aby w lot przychwycić szept czy gest ich chlebodawców, aby nie pomylić się kiedy wstać, kiedy usiąść, aby klasnąć w porę panu Mołotowowi, jeszcze przed Masarykiem i Kosanowiczem, aby najgłośniej ze wszystkich roześmiać się, kiedy krwawy dowcipniś Wyszyński powie jakiś "joke", od którego każdy naprawdę dowcipny człowiek dostaje ataku ziewania. Co do nas—to oczywiście nie możemy sobie na luksus takiej litości pozwolić i uważamy, że np. Rzymowski, który był kiedyś człowiekiem dowcipnym zanim nie przeszedł na takie grube "kawały" jak kradzież cudzych tekstów — powinien być ukarany i tą także, specjalnie dla niego dotkliwą karą — że jest pośmiewiskiem Narodów Zjednoczonych.

JAROSSY W LONDYNIE

Fryderyk Jarossy, najbardziej warszawski z cudzoziemców, który przyjechał przed dwudziestu laty na gościnne występy z "Niebieskim ptakiem" został w Warszawie na stałe, stając się niezbędną częścią jej teatralnego pejzażu, po licznych wojennych perypetyjach świadczących o nim jaknajlepiej, po wskrzeszeniu "Cyrułika Warszawskiego" w Brukseli, wyładował wreszcie w Londynie, gdzie jest konferensjerem świetnych wieczorów "Białego Orła". Oto jeden z jego nowych kawałów:

"Jedna z firm zwróciła się do mnie abym napisał powieść, naturalnie powieść o miłości. Któż jednak dzisiaj czyta długie powieści? Napisałem więc krótką ale dobrą powieść. Oto ona:

"Ukochana! Czy chcesz zostać moją żoną? — zapytał on.

"Nie", odrzekła ona stanowczo.

"No i byli bardzo szczęśliwi całe życie".

STAŃCZYK O SOBIE

("Wesele" Wyśpiańskiego, Akt. II)
...Własne brudy, podłość, kłam,
Znam, zanażdo dobrze znam."

O MOŁOTOWIE AND CO.

O Mołotowie, Wyszyńskim i Gromycie powiedziano: "Karl Marx's Brothers".

Kronika katolicka

EPISKOPAT POLSKI W SPRAWIE WYBORÓW. We wszystkich kościołach w Polsce odczytano List Pasterski zawierający instrukcje episkopatu dla ludności rzymsko-katolickiej w Polsce w sprawie nadchodzących wyborów. List Pasterski w Warszawie ukazał się z podpisem Kardynała Hlonda. Kardynał Hlond po raz pierwszy oznajmia Polakom-katolikom, że nie powinni oni należeć do "organizacji lub stronnictw, których zasady są sprzeczne z zasadami chrześcijańskimi i których działalność zmierza do podważenia etyki chrześcijańskiej". List Pasterski omawia znaczenie demokracji, doniosłość politycznych i społecznych przemian. Podkreśliwszy rywalizację między światopoglądem chrześcijańskim i materialistycznym, list wyłuszcza 8 kategorii instrukcyj, do których mają się stosować Polacy-katolicy w nadchodzących wyborach. List stwierdza, że ludność rzymsko-katolicka nie powinna głosować ani kandydować na listy, których program lub metody rządzenia sprzeczne są z "moralnością chrześcijańską i poglądami rzymsko-katolickimi".

PRZEŚLADOWANIE KOŚCIOŁA W JUGOSŁAWJI. Omawiając wyrok rządu Tito skazujący arcybiskupa Jugosławji Ks. Stepanica na 16 lat ciężkich robót, organ Watykanu "Osservatore Romano" porównuje ten proces z męczeństwem arcybiskupa Cieplaka zesłanego przez bolszewików na wyspy Sołowieckie. Jak wiadomo wszyscy odpowiedzialni za wyrok na arcybiskupa Stepanica zostali przez Ojca św. ekskomunikowani.

KATOLICY W ROSJI SOWIECKIEJ są prawdziwymi męczennikami za wiarę i prowadzą katakumbowe życie pierwszych chrześcijan. Stwierdził to jeden z księży Asumpcionistów, który przez 12 lat w przebraniu zwykłego robotnika miejskiego przebywał w Moskwie i przybył niedawno do Szwajcarii. Informuje on, że jeszcze obecnie znajduje się w Moskwie około 22,000 katolików — posiadają oni jedną kapliczkę w której odprawiają się ciche nabożeństwa. W Leningradzie jest podobno 30,000 katolików — mają oni również dom modlitwy ale nie mają księdza. Kapłan katolicki zjawia się raz na rok.

KS. BISKUP GAWLINA, ordynariusz wysiedleńców polskich w Niemczech, przybył ze Szwajcarii do Niemiec i odwiedzał po raz drugi polskie ośrodki.

600 LOTNIKÓW POLSKICH wzięło udział w pielgrzymce do Walsingham, urządzonej przez anglo-polskie Stow. Katol. Nieśli oni statuę Matki Boskiej.

W kilku słowach

Z POLSKI

CENZURĘ KORESPONDENCJI zagranicznej zniesiono w Polsce dekretem Bieruta. Jest to o tyle dziwne, że wg. wielokrotnych oświadczeń władz, kontrola listów zagranicznych oraz depeż w kraju nie istniała. Nie zmienia to faktu, że każdy list z Polski zawiera na kopercie niezależnie od znaku kontroli dewizowej, stempel numerowy cenzury.

TŁOMACZKA dziennikarza angielskiego Seftona Delmera, p. Weroniką Poniuska została po jego wyjeździe z Polski natychmiast aresztowana.

ZWŁOKI ST. WITKIEWICZA (syna) mają być przewiezione do Zakopanego z Wołynia. Witkiewicz popełnił samobójstwo w dniu 17. IX. 39, gdy się dowiedział o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski.

PARA BUTOW kosztuje w Polsce 25,000 — 30,000 zł., gdy 1 mtr. żyta — ok. 2,500 zł. Aby kupić zatem parę butów chłop musi sprzedać ca. 13 mtr. żyta. Nie dziwne, że w tych warunkach, jak pisze "Gazeta Ludowa" — "ludzie chodzą boso obojętnie w niedzielę i święta, czy w dzień powszedni".

HONOROWYM PREZESEM zarządu wojew. PSL w Łodzi wybrano jednogłośnie Piotra Chwalińskiego, który obecnie przebywa w więzieniu, aresztowany przez władze bezpieczeństwa. Uchwala stwierdza, że Piotr Chwaliński "dobrze zasłużył się Ruchowi Ludowemu".

"55 ZAGROD chłopskich spaliło się tylko w powiecie siedleckim na skutek pożarów, wzniesionych świadomie przez organa UB lub Milicji" — oświadczył poseł Mazur z PSL na sesji KRN (cytujemy wg. stenogramu KRN).

POLSKIE BANKNOTY drukowane są poza Narodowym Bankiem Polskim również w Moskwie bez żadnej kontroli polskiej. Pieniądze te przeznaczone są na wypłaty dla oddziałów sowieckich w Polsce i przekazywane do dyspozycji NKWD, które asynuje z nich fundusze dla PPR. Suma banknotów moskiewskich wynosi 7 miliardów zł. wobec 17 miliardów obiegu oficjalnego.

NALEPKI - CEGIELKI wydane przez wojew. zarząd PSL w Bydgoszczy zostały skonfiskowane, gdyż orzecz na tych nalepkach posiadał koronę. Warto zaznaczyć, że reżym tymczasowy nie ustalił dotąd urzędowo godła państwowego. Np. Prezydentum KRN używa pieczęci z orłem i koroną i taką pieczęcią opatrzone są legitymacje posłów KRN.